

dzieło Życia

24 grudnia 2007

„...nie daleko nam, ludziom współczesnym, młodym, wybranym, do stworzenia własnych odbić bez pomocy luster.”

Życie nie do końca wyglądało tak jak je sobie wyobrażał. Skoro idzie o ścisłość, było zupełnie inne. Będąc dzieckiem wielokrotnie zastanawiał się, jak to będzie być dorosłym. Żyć na własny rachunek, bez niczyich przykazań nad sobą. Wtedy uważał to za szczyt jakichkolwiek marzeń. Dzisiaj już wiedział, że chęciami nie wypełni talerza. Że mrzonkami nie wypcha sobie brzucha, ani nie ochroni się przed zimnem. O tak, dzisiaj już to wiedział. Szkoda tylko, że nikt nie poinformował go o tym wcześniej...

Był malarzem. Tylko jedno potrafił w życiu robić. Malować. Pomimo prośb rodziców, nalegań rodziny, a nawet groźby księdza z plebani, poszedł do szkoły malarskiej. Tam, uwielbiany przez przyjaciół, znienawidzony przez wykładowców przemęczył cztery lata. Opuszczając mury szkoły z nadzieją wpatrywał się w nadchodzące dni. A czemu nie miałby? Udało mu się. Wbrew całemu swojemu światu, pokonał przeszkodę. Zdał. Teraz w końcu mógł być panem swojego losu. Niestety.

Od czterech miesięcy nie sprzedał ani jednego obrazu. Nie były złe. Przynajmniej tak mówili mu wykruszający się powoli przyjaciele. Mimo tego nie był w stanie niczego się pozbyć. Ileż to razy, dźwigając wszystkie swoje dzieła błąkał się po galeriach. Po restauracjach. Sklepach. Kramach... nigdzie nikt nie był zainteresowany jego sztuką. Bo o sztuce przecież tu mówimy. Zwątpienie powoli zaczęło wkradać się do jego serce. Trwoga cierpliwie tworzyła nową wizję jego rzeczywistości. Rzeczywistości, w której on miał przegrać.

I wtedy, choć początkowo uważał to za cud, zdarzyła się tragedia, która miała odmienić całe jego życie.

– Pan Gibbon? – kobieta wymawiająca jego nazwisko nachyliła się lekko do przodu, jawnie demonstrując brak stanika pod cienką, jedwabną bluzką. – Pan Szymon Gibbon? Przez chwilę zastanawiał się czy aby nie śni. Kobiety rzadko odwiedzały jego sypialnię. Ostatnio, przyznając się, prawie w ogóle. A nawet gdy, to wszystkie obecne w tym pokoju wcześniej łączyła jedna, podstawowa cecha: Szymon je znał...

– Nazywam się Deirdre. Byłam z panem umówiona na popołudnie.

Szymon próbował pozbierać myśli. Deirdre? Umówiona? Z panem?

– A tak, pamiętam. Proszę mi wybaczyć brak ogłady. Pracowałem do późna. – skłamał, ale kobieta wyglądała na zadowoloną z otrzymanej odpowiedzi. Zbierając się łóżka w taki sposób, aby pozasłaniać dziury w starym kocu, szarmancko ucałował jej dłoń. Była przeraźliwie zimna. – W czym mogę pomóc? – starał się, aby zabrzmiało to beztrosko, ale każdy kto miał wcześniej do czynienia z pragnącym czegoś dzieckiem, rozpoznałby w jego głosie zdenerwowanie. Oraz pragnienie.

– Chciałabym zamówić u pana obraz. Nie jedną z doskonale mi znanych abstrakcji. – powiedziawszy to spojrzała na ustawione pod ścianą płótna. – Specyficzny obraz. Wykonany na tym oto wyjątkowym płótnie przywiezionym przez mojego ojca z Francji. Ma prawie sto dziesięć lat, w związku z czym chciałabym, aby obchodził się z nim pan bardzo ostrożnie. Co do samej treści dzieła, otóż chce aby zawierało ono... – jej barwny głos przeszedł niemalże w szept. Szept w westchnienie. Westchnienie w ciszę.

– Słucham?

– Prawdę.

Z początku podszedł do tego bardzo spokojnie. Prawda. Zero problemu! Pojedzie na wieś, rozstawi palety, posiedzi pięć godzin, machnie dwa razy pędzlem i zarobi pięćdziesiąt tysięcy. Pięćdziesiąt tysięcy dolarów! Już niemal czuł dotyk

szorstkich banknotów spadających na jego twarz zaraz po tym jak je wyrzuci do góry. Koniec problemów. Całkowita niezależność. Powrót przyjaciół... zaraz, zaraz. Nowi przyjaciele. Tylko tym razem prawdziwi. Prawdziwi. Na całe Życie...

Czy to nie piękne w jaki sposób pieniądze dają nam siłę do życia?

– Niech to wszystkie diabli. – powiedział sobie pod nosem, mając świadomość, że nikt nie jest w stanie go usłyszeć. – Niech to wszystkie, kurwa, diabli! – tym razem krzyk niósł się pustymi pokojami. Zwiedzał kuchnię, na widok której każda szanująca się gospodyni dostałaby zawału. Bynajmniej nie z zazdrości. Przeleciał przez łazienkę od tak dawna niemytą, że kafelki przypominały kolorem płyty chodnikowe. Parę razy zwiedził przedpokój po którym walały się opakowania po spaghetti i resztki jedzenia z ostatnich trzech tygodni. Bo właśnie od tyłu Szymon siedział w swoim domu. W końcu krzyk postanowił wrócić do pokoju w którym rozpoczął swoją wędrówkę. Co tam zastał? Szymona kryjącego twarz w brudnych od farby dłoniach? Farby porozlewane na paletach? Pędzle walające się po podłodze? Tak. Zastał to wszystko. Ale zasmuciło go zupełnie co innego. Mianowicie, cała ziemia zasłana była pogniecionymi panelami drugiej jakości. Panelami na jakich wykonuje się zwykłe szkice. Natomiast stelaż stojący naprzeciw zdenerwowanego człowieka był pusty. Krzyk zrozumiał dlaczego został uwolniony.

W akcie desperacji Szymon postanowił przerzucić się na płótno przyniesione przez Deirdre. Prawda.

Minęły kolejne dwa tygodnie a białe płótno nie było w stanie pokryć się barwami. Cokolwiek zostało na nie naniesione albo od razu nie podobało się artyście, albo najzwyczajniej w Świecie znikało. Nie chodzi tu o zamałowywanie.

Nie.

Znikało, czyli rozpływało się w powietrzu. Matowiało. Najpierw traciło kolory, stawało się szare, zupełnie jakby ten był specjalnie uprzywilejowany, a następnie zupełnie znikało. Doprowadzało to Szymona do rozpacz. Bo czy łatwo jest ojcu patrzeć na śmierć własnego dziecka?

Szymon biegał po domu klnąc na czym to Świat stoi. Za parę sekund do jego drzwi ma zapukać Deirdre, a on zgubił gdzieś swoje spodnie! Wpadł do łazienki i z rozpędu wysypał kosz z brudną bielizną. Zapach, który doszedł do jego nozdrzy nie należał do najprzyjemniejszych z jakimi dane mu było się zetknąć w ciągu jego dwudziesto trzy letniego życia. I na pewno nie tym chciał przywitać...

DRYŃ.

To pewnie sąsiad z góry. To nie mogła być ona...

DRYŃ.

Spodnie. Spodnie. Spodnie. „Myśl” skarcił sam siebie...

DRYŃ.

– Panie Gibbonie, proszę otworzyć. Wiem, że pan jest. Widziałam przez okno, jak pan biegał po mieszkaniu. Proszę otworzyć. – jej głos był miły. Aż pulsował spokojem. Narzuciwszy na siebie szlafrok zaczął iść w kierunku drzwi.

„Jestem artystą, to normalne, że witam ludzi w szlafroku” niemal pożałował, że nie pali fajki albo nie ma kieliszka z szampanem, koniakiem albo innym świństwem w ręku. Zapomniał, że go na to nie stać.

– No proszę, prawdziwy artysta. – rzuciła Deirdre przekraczając próg mieszkania. Jej krótka spódniczka dokładnie opinała kształtne ciało, budząc w Szymonie nagły przypływ pożądania. Dzikiego pożądania. Jakby on chciał ją, tu, teraz...
– Gdzie obraz?

Już miał jej mówić, że to nie jego wina, że obraz jest teraz w toku tworzenia i nikt nie może go oglądać, że miał wypadek, gdy Deirdre bez zapytania wmaszerowała do jego pracowni. „Pa, pa pieniądze. Pa, pa sławo. Pa, pa odbicie się od dna.” takie właśnie myśli towarzyszyły Szymonowi czekającemu na wybuch rozwścieczonej pracodawczyni. Nabrał głęboko powietrza, poprawił szlafrok, dumnie podniósł głowę i nucąc sobie marsz pogrzebowy wszedł do środka.

Deirdre stała przed sztalugą z przekrzywioną głową. Usilnie czegoś wypatrywała. Szymon postanowił jej nie przeszkadzać. Ostatecznie, może lubiła wpatrywanie się w białe płótna.

„Francuskie, mające sto dziesięć lat białe płótna” poprawił się w myślach.

– Niezłe.

Jej wypowiedź tak zaskoczyła Szymona, że aż jęknął.

– Słucham? – wystękał kiedy tylko jego płuca zaczęły normalnie funkcjonować.

– Powiedziałam, że niezłe, choć spodziewałam się trochę więcej. Kiedy jednak patrzę na to, rozumiem, że potrzebuje pan więcej czasu. Tylko, że tym razem umawiamy się inaczej. Ma pan dwa miesiące. Wynagrodzenie podwoi się, jeżeli zmieści się pan w terminie. W innym przypadku, płacę połowę pierwszej stawki. Zgadza się pan?

Szymon, któremu Deirdre cały czas zasłaniała sztalugę, zastanawiał się, co jego pracodawczyni widzi w białym płótnie.

– Zgadzam. – jego głos był nieobecny, jakby wędrował gdzieś poza ciałem, próbującym przeświecić postać zasłaniającą mu „obraz”.

– Doskonale. A więc dokładnie za dwa miesiące staje się pan bogatszy o sto tysięcy dolarów. – była już w połowie korytarza, gdy rzuciła jeszcze przez ramie. – Proszę pamiętać,

dwa miesiące. Ale Szymon już jej nie słyszał. Nie chciał słyszeć. Widzieć. Czuć.

Chciał tylko zrozumieć, jakim sposobem jego spodnie znalazły się w obrazie.

Nie rozumiał jakim cudem jego stare sztruksy, tak znoszone, że niemalże dziurawe, znalazły się na białym tle obrazu. Leżały zupełnie tak jakby rzucił je tam zaraz po przyjeździe do domu. Tak naturalnie, tak żywo.

Tak prawdziwie.

Od tamtego dnia Szymon zaczął zauważać, że z jego domu w tajemniczy sposób znikają przedmioty. Z początku się tym nie przejmował. Był artystą, sprawy przyziemne, takie jak dobra nabyte, go nie interesowały. Przynajmniej od momentu, gdy wszedł już w ich posiadanie. Dlatego zniknięcie swojego prawego buta potraktował machnięciem ręki, mając świadomość, że już niedługo kupi sobie nowy. Lepszy. Przez ten cały czas stare płótno zakryte było prześcieradłem chroniącym Szymona przed tym, czego bał się widzieć, a co kryło się gdzieś w cieniu jego wyobraźni.

A but leżał pod łóżkiem i powoli tracił barwy. Znikał.

Po upływie sześciu tygodni, gdy mieszkanie Szymona przypominało pusty magazyn, artysta zdecydował się odsłonić obraz. Ku swojemu przerażeniu odkrył, że wszystkie meble znajdowały się na nim. Stały na dywanie. Jego kolorowym dywanie! Prezencie od ojca. Stelaż, który stał tyłem, był pusty. Zupełnie jak miejsce na krzeselku tuż przed nim. To wszystko było prawdziwe, takie prawdziwe... Szymon podskoczył gdy usłyszał dzwonek do drzwi. Począł, aż gość zadzwoni drugi raz poczym ruszył, powłuczając swoimi kapciami po pustym przedsionku. Na dywaniku, jak zauważył przez judasza, stał listonosz.

– Proszę wrzucić do skrzynki. – poprosił uprzejmie i już

zaczął się odwracać, gdy urzędnik zabrał głos.

– Pokwitowanie odbioru je potrzebne. Podpis trza machnąć.

– Jasne. – zrezygnowany zaczął mocować się z zamkiem. I łańcuszkiem. Jego matka lubiła mówić, że przezorny zawsze ubezpieczony. – Tak?

Listonosz szukał czegoś w torbie skupiając na tej czynności całą swoją uwagę.

– Tak? – Szymon poczuł się zniecierpliwiony. Nie lubił stać bez ruchu na korytarzu, będąc na widoku wszystkich swoich sąsiadów.

– Chwila, chwila, przecie się nie pali. – listonosz, który najwyraźniej znalazł to czego szukał zamykał już torbę. Podrapał się po nosie i powoli podniósł wzrok. – To do pana... o kurwa. – cofnął się odruchowo i uderzył biodrem o barierkę. Szymon był równie zaskoczony jak listonosz. Zastanawiał się co tak zadziwiło urzędnika poczty w jego wyglądzie. Fakt, że nie golił się od przeszło miesiąca, nie powinien wzbudzić aż takich emocji. Zresztą jak miał to niby sprawdzić. Lustro znikło prawie na samym początku. Poprzedzone migracją maszynki.

– Proszę się opanować. Co się stało?

Listonosz z początku nie był zdolny nic powiedzieć, jękał się jakby widział ducha...

– P...p...pan znika... – słowa te, bardziej wyrzucone niż wyartykułowane, uderzyły Szymona niczym dwudziesto kilowy młot. No dobra, niczym trzydziesto kilowy młot. W tym samym momencie Szymon odwrócił się i pędem ruszył do pokoju w którym stał obraz. Wpadł do niego w niecałe trzy sekundy. Doskonały czas.

– Nie... nie...nie...

Krzesło, stojące przed stelażem na obrazie, nie było już puste. Już nie. Teraz siedział na nim młody człowiek. Szymon bez żadnego problemu rozpoznał siebie...

...siebie. Na swoim obrazie.

Miał zobrazować prawdę.

Obraz zrobił to za niego.

„Oto zmyślony świat, który się zrodził by w ciszy trwać. Jeśli go zeżre fałsz, unicestwi się sam.” Chaos kontrolowany – Coma

Autor: Franciszek Mocek

Źródło: [Autentyk](#)